

**ELIZA
ORZESZKOWA**

JĘDZA

Eliza Orzeszkowa

Jędza

«Public Domain»

Orzeszkowa E.

Jędza / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Spółeczno-obyczajowa powieść Elizy Orzeszkowej, ukazująca egzystencję i problemy dziewiętnastowiecznej biedoty. Wnikliwy obraz ludzkich zachowań, będących skutkiem ówczesnych warunków ekonomicznych. Tytułowa Jędza to młoda szwaczka mieszkająca ze zgorzkniałą matką, na próżno wyczekującą wiadomości od synów, którzy opuścili rodzinny dom, aby już nigdy nie zainteresować się losem najbliższych. Beznadzieja, ubóstwo, wrogość matki — wszystko to sprawia, że Jadwiga postrzega swoje życie jako pasmo udręk i cierpienia. Nieoczekiwana wizyta kuzynów odmienia codzienność kobiet, przywracając im radość i nadzieję. Rodzi się miłość, a wraz z nią Jadwiga rozkwita.

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

Содержание

I	5
II	18
Конец ознакомительного фрагмента.	22

Eliza Orzeszkowa

Jędza

I

Siłą przyzwyczajenia o pierwszym brzasku dnia obudzona, otworzyła oczy, i tak przelęknęła się, że nieprzytomnym jeszcze od senności głosem wybełkotała:

– Co to? co to?

Istotnie, co tam takiego stoi w szarem świetle zimowego świtu, przy dużym i ciężkim stole, umieszczonym pośrodku pokoju, którego podłoga znika prawie pod mnóstwem małych różnokolorowych szmatek, strzępków, skrawków? Widmo, nie widmo? Wyraźna, wysoka postać kobiety, z wydatnymi kształtami i w nowiuteńkiej eleganckiej sukni, ale bez głowy! Falbany, tunika, pasek, kołnierz, rękawy, turniura, wszystko jest, tylko nad kołnierzem głowy, a u rękawów rąk wcale niema! Wytworna jakaś dama, według ostatniej mody ubrana, ale bez rąk i bez głowy, w dodatku zaś trupio sztywna i nieruchoma. Ta trupia sztywność, obok pełności kształtów, najbardziej jej nadają, w szarem świetle świtu, pozór fantastycznego zjawiska. Biały odbłask leżącego za oknem śniegu słabo migocze w złotych paciorkach zdobiących jej suknię, a okrywające podłogę strzępki i skrawki wyglądają, jakby ścielące się do stóp, dziwaczne, powiędłe, klinowate, podłużne kwiaty.

Jednak, obudzona dziewczyna przez trwanie kilku zaledwie sekund przelęknęła czuła się tem fantastycznym zjawiskiem. Sennym głosem wybełkotawszy: „Co to? co to?” uśmiechnęła się zaraz i, przecierając oczy, które jeszcze bardzo spać chciały, wymówiła:

– Jakaż ja głupia!

Głupią może nie była, ale wczoraj do godziny drugiej po północy wykończyła haft ze złotych paciorków, który teraz słabo migotał na sukni widma, co sprawiło, że, położywszy się późno, spała twardo, zbyt krótko i obudziła się nieprzytomnie, dlatego nie poznała odrazu przedmiotu, który od lat już siedmiu był nietylko jej nierozłącznym towarzyszem, ale niejako symbolem jej życia. On, to jest ten manekin, do przymierzania sukien służący, z drucianej siatki utworzony, oraz drugi jeszcze przedmiot: maszyna do szycia, której korba i koło słabo połyskiwały nad stołem, środek pokoju zajmującym, była to para jej nieodłącznych towarzyszków, chlebobawców i dobroczyńców z jednej strony, a z drugiej więziennych stróżów.

Głęboką ciszę wczesnego poranku przerywały tylko dwa monotonne głosy: tykotanie wiszącego na ścianie zegara, oraz chrapanie kogoś, śpiącego za cienką drewnianą ścianą, w przyległym pokoju, od którego drzwi wąskie i niskie były nawpół otwarte. Cienka, drewniana ściana była w istocie tylko przepierzeniem, a dwa pokoje jedną obszerną izbą, na dwie nierówne części podzieloną.

Senne, różowemi obwódkami otoczone oczy dziewczyny zwróciły się ku zegarowi, i jakby sprężyną podrzuciona, usiadła na łóżku.

– Późno już! – szepnęła, – ach, jak późno! Zaspałam!

Poczęła bardzo śpiesznie wstawać z pościeli i ubierać się, a gdy to czyniła, ruchy jej zdradzały naturę żywą, nerwową, którą jeszcze jakiś bicz życia do nieustannego pośpiechu przyzwyczaił. Nie zastanawiała się ani chwili nad zużytymi i dziurawymi bucikami, w które wsunęła małe i zgrabnie utoczone stopy; nie lubowała się długością i połyskiem ciemnopłowych włosów, które nad czołem gładko zaczesawszy w gruby warkocz, z tyłu głowy zwinęła; od łóżka do glinianej miednicy z wodą i od miednicy do wiszącego na ścianie lusterka przebiegała żwawo, cicho, na żadne przerwy, spoczynki, rozmyślenia nie pozwalając sobie, ani potrzeby ich nie czując.

Wzrost miała dość wysoki, ruchy zgrabne, włosy piękne, ręce i stopy małe i kształtne; ale wielkie wychudzenie i żółtawa bladość ciała nadawały jej pozór mizerny i zwiędły. Kości jej łopatek ostro sterczały nad opadającą z nich czystą, lecz i wszelkich ozdób pozbawioną koszulą, a ramiona

miały także zgięcia ostre i na całej długości cienkość jednostajną. Tak chudą będąc, najlepiej nawet przez naturę stworzona kobieta, ładną być nie może. Ale ona, w tej chwili przynajmniej, nie myślała wcale o tem, czy jest ładną. Zajmowały ją nadewszystko, pochłaniały całkowicie wdzięki wytwornej damy bez głowy, przy dużym stole w trupiej nieruchomości stojącej. Myjąc się, czesząc, wrzucając na siebie szarą spódniczkę, wciąż rzucała na nią śpieszne, ale uważne spojrzenia, aż nie skończywszy jeszcze zapinać szarego stanika na zgrabnej, lecz zbyt cienkiej kibici, podbiegła ku niej, i pochylając się, prostując, zbliżając się, odchodząc, przyglądać się jej zaczęła.

– Żle! – szepnęła, – zupełnie źle!

W mgnieniu oka otworzyła stojące na stole pudełko, i jedną ręką zapinając jeszcze guziki stanika, drugą poczęła prędko, prędko z podłużnego papieru wysuwać szpilki i do ust je wkładać. Była to manipulacja dość dziwna, z którą jednak ona doskonale była oswojona. Bo kiedy człowiek obie ręce ma zajęte robotą, gdzie umieścić potrafi szpilki, których co sekunda do tej roboty potrzebuje? Naturalnie w ustach; ciągłe bowiem chwytanie ich ze stołu lub stołka zabierałoby wiele czasu, a co gorsza, zbyt daleko usuwałoby rękę od roboty. Jest to kwestya krawieckiego mechanizmu, w którym dziewczyna widocznie była biegłą. Z pękiem szpilek w bladych, drobnych wargach, przykłęka i zaczęła przebierać upięcie sukni wytwornej damy.

– Oj, ta nocna robota! – sarknęła zcicha.

W nocy, przy świetle lampy, wydawało się jej, że zrobiła to bardzo ładnie; teraz zaś w układzie i sposobie opuszczenia się draperyi spostrzegła różne krzywizny i niedokładności. Prostowała, poprawiała, podnosiła, opuszczała, na klęczkach obchodziła dokoła wytworną damę, prawa jej ręka co chwila nadzwyczaj szybkim ruchem sięgała do ust po szpilkę; zgrabna głowa z ciężkim warkoczem medytacyjnie i badawczo przechylała się w różne strony, zdaleka i zbliska przypatrując się dokonywanemu dziełu.

Gdy tak w zajęciu swoim była pogrążona, za oknem, gdzieś w pobliżu, ozwało się silne stukanie i gruby głos ludzki, w sposób gwałtowny i grubiański do kogoś przemawiający. Nie zdziwiło to jej wcale. Wiedziała, że to jeden z jej licznych sąsiadów, szewc Jerzy, po całonocnej hulance pijany wraca do domu i w taki hałaśliwy sposób dobija się do drzwi swego mieszkania. Stukanie to trwa zazwyczaj długo, a towarzyszą mu coraz głośniejsze krzyki i łajania; bo żona szewca, przelekła, a jeszcze więcej rozgniewana, drzwi otworzyć nie chce, i nawet z wnętrza mieszkania, cienkim, ale piskliwym i doniosłym głosem wzajemnie męża łajając zaczyna.

Wszystko to nie jest zupełnie podobnem do śpiewu ptasząt, przy którym do dnia niewinności i szczęścia budzą się niewinni i szczęśliwi tego świata. Więc też czoło dziewczyny, klęczącej przed wytworną i trupio sztywną damą bez głowy, nabiera trochę ponurego wyrazu; pomiędzy brwiami powstaje na niem zmarszczka i przebiega je parę drgnień gniewu czy niecierpliwości. Od kilku już lat, parę razy na tydzień, słyszy ona hałaśliwe i grubiańskie kłótnie szewca z żoną, a potem znowu wysłuchiwać musi płaczących, piskliwych, nieskończenie długich wyrzekań i lamentów kobiety, a dotąd jeszcze oswoić się nie może z widokiem mizernego, niskiego, brudnego życia tych ludzi. Jest w niej coś, jakiś instynkt porządku, jakieś zamiłowanie zarówno fizycznej, jak moralnej czystości, co podobne widoki czyni jej nieznośnemi.

A teraz, nad nią, nad niewysokim sufitem pokoju, w którym pracowała, rozległ się przeraźliwy wrzask dwojga czy trojga dzieci, które śnać jednocześnie obudziły się i jednocześnie płakać zaczęły. Oznajmiało to znowu powstawanie ze snu licznej rodziny Lei kramarki, która niedaleko ztąd miała kramik z drobnymi wiktuałami, a której mąż od rana do wieczora nad Talmudem siedział i oprócz tego nic więcej nie robił. Ci nie kłócili się z sobą, jak o kilkanaście ztąd kroków mieszkające szewcowstwo, ale w zamian mieli strasznie wrzaskliwe dzieci i mieszkali dosłownie w kupie śmiecia, z którego wyciekające brudne jakieś płyny tworzyły często obrzydliwe plamy na suficie jej mieszkania.

Skarżyła się na to przed właścicielem domu, ale był to człowiek bogaty, a psycholog mierny, który na żaden sposób zrozumieć nie mógł, co komu szkodzić mogą dziecinne wrzaski nad sufitem i mokre plamy na suficie? On sam wprawdzie ani jednych, ani drugich znieśćby nie mógł, ale był

bogaty; ażeby zaś ubogim ludziom przykrość one sprawiać mogły, tego zupełnie nie pojmował. Panna Jadwiga Szyszkówna była panienką ubogą, więc rzeczy takie i daleko jeszcze gorsze znosić mogła wybornie. Powiedział jej to wyraźnie, co ją tak zabolalo i oburzyło, że z twarzą w ogniu oświadczyła mu wzajemnie, iż jest gburem, człowiekiem bez wychowania i serca, a odchodząc, z całej siły trzasnęła drzwiami. Postępku tego nietylko nie wyrzucała sobie, ale owszem, ilekroć o nim myślała, żalowała, że obrzydliwemu spekulantowi nie nagadała daleko gorszych rzeczy i że drzwiami jego nie trzasnęła tak, aby z nich duże, przezroczyście, kosztowne szyby wyleciały i na szczątki się potłukły. Bo jakie on miał prawo wyrzucać jej ubóstwo? Płaci mu przecież ona za mieszkanie z regularnością zegarkową, ręki po jałmużnę nie wyciąga, i od nikogo nic nie potrzebuje. Czy to ubogi człowiek jest psem, aby wszystko znosić musiał i aby każdy ubliżać mu miał prawo?

Teraz jeszcze, myśląc o tej rozmowie z właścicielem domu, zawrzała tak, że aż rumieńce wybiły się jej na twarz i dotkliwie ukłóła się szpilką w palec. Syknęła, ale nie z bólu, tylko z gniewu na samą siebie. Zarazem wstała z klęczek, i po starannem obejrzeniu znowu ze stron wszystkich wytwornej damy, uznała, że draperye jej sukni były tym razem zupełnie dobrze upięte. Trzeba je będzie jeszcze przymocować nićmi, ale to już uczyni później, a teraz wykończy tę różową, dziecinną sukienkę, która wisi na ścianie zupełnie uszyta, tylko jeszcze drobnych przyozdobień potrzebuje.

Gdy szła ku ścianie po dziecinną sukienkę, machinalnie spojrzała w okno, i zobaczyła zwolna sunącą po dziedzińcu usłanym śniegiem kobietę, w strasznie obłoconej u dołu sukni i wielkiej podartej chustce na głowie. Z grubych zwojów podartej i żadnej już barwy nie mającej chustki, wyglądała twarz dość jeszcze młoda, ale niezmiernie blada, chuda i wyrazem przejmującego smutku uderzająca. I o tej kobiecie Jadwiga wiedziała dobrze kim jest i dlaczego teraz w skórzanych pantoflach i obłoconej spódnicy, sennym, słabym, leniwym krokiem sunie się przez dziedziniec. Jest to żona krawca, Mendla, który w tym samym domu, wkrótce po jej przybyciu zamieszkał, a miał żonę, czworo dzieci, powoli rozwijające się suchoty i wieczny brak zarobku. Sunie zaś ona, ta żona Mendla, której na imię Ruchla, ku sklepionej, prowadzącej na ulicę, bramie dziedzińca, aby w niej stanąć i każdego z przechodniów, którego tylko o potrzebę sporządzania jakiegokolwiek odzieży posądzić może, do swego męża krawca werbować.

Zrana, w południe, przed wieczorem, latem, jesienią i zimą, słowem o każdej porze dnia i roku, widzieć można Ruchlę przypartą do rogu bramy i głęboko zapadłemi, czarnemi oczyma wodząca po przytykającym do niej chodniku. Czasem, gdy nogi zabolą ją od stania, przysiada na niskich schodkach, znajdujących się u drzwi mieszkania stróża, i z łokciami na kolanach, z brodą opartą na obu rękach, siedzi jak posąg; lecz niech tylko spostrzeże idącego chodnikiem lub wchodzącego do bramy kogoś z zawinięciem, lub kawałkiem materii w ręku, natychmiast zrywa się, podbiega i z ukłonami, z błagalnymi wejrzeniami, z tysiącznemi przyrzeczeniami taniości i doskonałości roboty, do siebie zaprasza go zaczyna. Z sennej, leniwej, nieustannie i zda się śmiertelnie smutnej kobiety przemienia się wtedy na Demostenesa w obłoconej spódnicy, a w części też na baletnicę, tak staje się wymowną i takich gibkich, żwawych, sprężystych nabiera ruchów. Tłumnie, bezprzestannie, gorączkowo wyrazy tłoczą się na jej kształtnych, cienkich, zżółkłych wargach; błagalnie, gorączkowo, z wyrazem niepokoju, przymilenia i żądy w twarz przechodnia z zawinięciem spoglądają jej głęboko zapadłe, jak noc czarne oczy. I dość często udaje się jej dopiąć celu, dość często przechodzień, zwabiony jej spojrzzeniami, ukłonami i obietnicami, skierowuje się w stronę jej mieszkania, omijając drzwi Jadwigi Szyszkówny i drugiej szwaczki, która także w tym domu mieszka, ale której Jadwiga znać nie chce, z powodu kawalerów, z którymi ta lekkomyślna dziewczyna przechadza się po ulicach i których nawet u siebie niekiedy przyjmuje.

Że jednak druga ta szwaczka niewiele znaną jest w mieście i daleko mniejszą od niej biegłość w krawiectwie posiada, więc też Ruchla swoim przejmowaniem w bramie krawieckiej klienteli najczęściej szkodę wyrządza Jadwidze. Boże! ile też zrazu miała ona z tą kobietą zajść i przykrości! Zaczęła od tego, że poważnie wykazywała jej całą niewłaściwość i nawet nieuczciwość takiego podstępного postępowania i odbierania zarobku innym, którzy także żyć potrzebują. Na przełożenia

te, Ruchla ani gniewu, ani wstydu nie okazując, odpowiedziała: „A co robić, kiedy u nas chleba niema!” Niechby Mendel tak dobrze suknie robił, aby przez to zdobył sobie wziętość, a wtedy niktby mu jej za złe brać, ani zazdrościć nie miał prawa; ale tak w bramie stać i ludzi chwytać, namawiać, od innych drzwi odprowadzać, to nieładnie i nieuczciwie. Ruchla cichym, monotonnym, od stania na zimnie ochrypłym głosem, znowu odpowiedziała: „Co robić, kiedy u nas chleba niema!”

Stopniowo, uporem Żydówki i kilku poniesionymi stratami podrażniona, Jadwiga coraz ostrzejsze wymówki Ruchli czynić zaczęła, i przy każdym spotkaniu okazywała jej pogardę; bo też istotnie, oprócz żalu nad straconym zarobkiem własnym, czuła ku podobnemu sposobowi zdobywania go obrzydzenie głębokie. Ona, gdyby z głodu umierała, jeszczeby pewnie nie stanęła w bramie, aby w taki żebraczy i dla innych szkodliwy sposób przyciągać ku sobie klientelę.

Raz też, przechodząc obok Ruchli, która jej przed kilku dniami jedną z najcenniejszych klientek odebrała, zagotowała się cała od gniewu, i głośno, ostro do niej zawołała: „Oj, wy, Żydy, wy już ani za grosz honoru i wstydu w oczach nie macie!” I jak zwykle, gdy gniew ją ogarniał, z ogniem na policzkach i drżącymi trochę rękoma, dodała: „Brudasy!” Wymówiła więc wyraz z całego swego dykcyonarza najgorszy, bo „brudas” czyli człowiek fizycznie lub moralnie brudny, był dla niej tem, czem najnamiętniej brzydziła się na świecie. Ale Ruchla, ramieniem o róg bramy oparta, bez gniewu, bez wstydu, bez żadnego poruszenia ciała lub duszy, odpowiedziała: „A co robić, kiedy u nas chleba niema!”

Przez lat parę Jadwiga uczuwała dla tej fizycznie i moralnie brudnej kobiety urazę i pogardę. Jakież tedy było jej zdziwienie i obrzydzenie, gdy pewnego dnia, Ruchla, nie w bramie już, ale na dziedzińcu, z opuszczonymi rękoma i spłakaną twarzą stojąca, ujrawszy ją, rzuciła się ku niej, rękę jej pochwyciła i pocałunkami okrywać zaczęła! Płakała przy tem i bełkotała, że jedno z dzieci jej zachorowało, a ona nie ma czem doktora i apteki opłacić, że w tych czasach właśnie Mendel żadnego zarobku nie miał, że może panienka zlituje się nad jej chorem dzieckiem, nad nimi wszystkimi, i pożyczyci im choć rubla, choć jednego rubla... na doktora i lekarstwo! Jadwigę prośba ta oburzyła. „Ja wam, ja wam pożyczyc! Dwa lata dołki podemną kopią i o tem tylko myślą, aby mię chleba pozbawić, a teraz jeszcze mojej pomocy żądają! Albo to prawda, że wy tacy biedni!” Ruchla odpowiedziała: „Niech panienka zobaczy i przekona się! Niech panienka do nas wejdzie!” Powiedziała to w taki sposób i tak ją jakoś ku swemu mieszkaniu pociągnęła, że Jadwiga za nią poszła.

W mieszkaniu krawca spędziła prawie kwadrans, a gdy je opuściła, miała twarz zamyśloną i smutny wyraz oczu. Jakkolwiek patrzała już teraz na bruk dziedzińca i wysokie ściany kamienicy, zamiast nich widziała nieustannie drobną, ładną, rumieńcami gorączki płonąca twarz dziecka, i drugą jeszcze, prawie jak papier białą, rozżarzonemi oczyma świecąca, suchotniczą twarz ojca tego dziecka. Widziała jeszcze okropną izbę, z której przed chwilą wyszła, i z temi obrazami w oczach do mieszkania swego wbiegła, a wnet zeń znowu wybiegłszy, czekającej na nią Ruchli papierową szmatkę w rękę wcisnęła.

Doprawdy, nie była ona wcale bogatą, ale do utrzymania miała tylko siebie i jedną jeszcze osobę, a biały, smutny, chory, przymusowo beczynny człowiek miał ich aż pięć. Posiadała w tej chwili trzy ruble, z których jednego oddała żonie krawca, a tego samego dnia, odnosząc uszytą suknię żonie doktora, której była stałą krawczynią, tak gorąco prosiła, aby pan doktor odwiedził chore dziecko Mendla i Ruchli, że aż doktorową w rękę pocałowała. Wogóle, nie była wcale skłonna do całowania rąk ludzkich, tym razem jednak uczyniła to, i nie bez skutku. Mały jej sąsiad bezpłatnie leczony wkrótce wyzdrowiał, a jednocześnie w sercu Jadwigi nieprzyjaźń względem obłoconej i podstępnej Ruchli zgasła bez śladu, i chociaż ta ostatnia, tak jak wprzódy w bramie domu trzymała wartość, już kiedy niekiedy Jadwiga zamieniała z nią kilka życzliwych, nawet poufnych wyrazów.

I teraz także, spostrzegłszy przez okno Ruchlę na zwykłe swe stanowisko dążącą, uśmiechnęła się tylko żartobliwie.

– Głupia Ruchla! Zmarznie w bramie, jak kość, a nikogo nie złapie! Przecież to wigilia Bożego Narodzenia...

Zdjęła ze ściany dziecinną sukienkę i poczęła ją na wszystkie strony obracać i oglądać. Bardzo ładna! Zrobiła takich trzy, dla trojga małego rodzeństwa, i dziś ją odniesie, tylko tę jedną wykończyć jeszcze trzeba. Odwróciła się ku stołowi, i nagle aż zatrzęsła się cała z gniewu. Jedna szyba nisko nad ziemią umieszczonego okna zajęta została w zupełności przez twarz kobiety dużą, czerwoną, garniowaniem wielkiego kaptura otoczoną, a małemi, świecącemi, ciekawemi oczkami chciwie w głąb pokoju spoglądającą. Twarz ta należała do niemłodej, barczystej kobiety, która w dość mizernej salopie i z grubą książką do nabożeństwa w ręku za oknem przystanąwszy, mieszkanie za tem oknem znajdujące się, świecącemi i ciekawemi oczkami formalnie prześwidrować usiłowała.

Znowu! – krzyknęła Jadwiga, i z błyskawiczną szybkością ku oknu poskoczywszy, twarzy do szyby przyklejonej język pokazała.

Twarz, z przedziwnym grymasem gniewu i przedrzeźniania zniknęła, a Jadwiga, popędliwym ruchem przy maszynie do szycia usiadłszy, trochę drżącemi palcami układała i zszywała różową kokardkę. Nie jest to ładnie język komuś pokazywać, ale ona wcale tego postępkę swego nie żałuje. Te nabożnisie w rogu dziedzińca mieszkające, tak jej już swoim podpatrywaniem i podsłuchiwaniami dokuczyły! Jest ich trzy, mieszkają razem, żyją z drobnych emerytunek i oszczędności, przez całe dni z książkami do nabożeństwa po dziedzińcu się włóczą, a co która przewlecze się, to w jej okno twarz wsadzi i patrzy: czy nie zobaczy czego, coby po mieście na języku roznosić mogła. Żeby sto lat patrzała, nic takiego nie zobaczy, to pewno; ale taka niedelikatność i nieprzyjaźń oburza i boli. Tylko co była jedna, szła na prymaryę i do jej okna zajrzała, zaraz iść będzie druga, a potem trzecia, i to samo zrobią. Ale ona plecyma do okna usiadła i ani razu nie obejrzy się najpewniej, aby znowu nie zobaczyć której z tych dużych, czerwonych twarzy (wszystkie trzy mają one duże, czerwone twarze); bo gdyby się to stało, czuje, że nie wytrzymałaby i znowu pokazałaby język.

Myślała już o tem, aby dolne szyby firanką zasłonić, ale światła do roboty miałyby za mało i przy wyszywaniu sukien sznurkami lub paciorkami, albo przy szyciu przodów do męskich koszul, musiałaby wzrok wycęzać, a i bez tego już od niejakiego czasu oczy ją trochę bołą. Po czternaście, albo i po szesnaście godzin na dobę szyje i szyje. Bierze do szycia nietylko suknie, ale gdy się zdarzy, także i bieliznę, potrzebującą wybornego i delikatnego obrobienia. Trudno byłoby utrzymać się z szycia samych sukien, zwłaszcza, że współzawodnictwo na tej drodze jest ogromne i ciągle wzrasta; trzeba więc korzystać z każdej sposobności zarobku, z każdej umiejętności własnej.

Ze sześć już kokardek do różowej dziecinnej sukienki zrobiła i robić zaczęła siódmą, gdy z za przepierzenia dał się słyszeć głos nieprzyjemnie brzmiący, bo tak chropawy, że do przesuwania się piły po drzewie podobny.

– Jadwisiu, czy ty znów o tej porze przy robocie siedzisz?

– Już! – syknęła do siebie Jadwiga, – zaczynają się przyjemności!

Głośno zaś odpowiedziała:

– Siedzę, mamó!

Głos za przepierzeniem, tonem gderliwej przekory, ozwał się znowu:

– A położyłaś się spać znów o trzeciej?... a?

Coraz prędzej, prędzej zszywając kokardkę, odpowiedziała:

– O trzeciej, mamó!

Za przepierzeniem, chrypliwie, niecierpliwie, z gorzką i gniewną wymówką, zajęczano:

– Skaranie boże! plaga egipska! śmierć! zginienie! wieczne nieszczęście! Cóż z tego będzie? no, i co z tego będzie? Boże, zmiłuj się! Boże, zmiłuj się nad nami!...

I ucichło, a w zamian rozpoczęło się głucho, monotonne stukanie mocno uderzanych o siebie trzewików, dla okurzenia ich, czy z innej jakiej przyczyny. Klap! klap! klap! długo stukwały za przepierzeniem uderzane o siebie stare podeszwy, a potem stary, chrypliwy, gderliwy głos zaczął znowu:

– Cóż z tego będzie? Powiedz tylko sama, co z tego będzie? Do czego ty sama siebie doprowadzisz? Czyż ty nie rozumiesz? Jezus, Marya! Sama zginiesz i matkę zgubisz! Albo ty tego nie

rozumiesz? Oho? Nie taka ty głupia, żebyś rozumieć nie miała! Rozum masz! O jej! masz go więcej, niż trzeba, a serca tylko mało, mało, mało! Jezus, Marya! Gdybyś miała serce, tobyś pomyślała o tem, coby stało się z matką, gdybyś ty zachorowała, albo broń Boże i co gorszego jeszcze... Ale czy ty kiedy o tem pomyślisz? Czy ty o matkę dbasz? Czy ty taka córka, żebyś matki spokojność szanowała? Pracować! pracować! pracować! To bardzo ładnie i możesz chwalić się przed całym światem, że z własnej pracy siebie i matkę utrzymujesz. Tobie tylko o to idzie, ażeby chwalić się: „Od nikogo nic nie potrzebuję! Matkę utrzymuję! Synowie ją opuścili, a ja córka, słaba dziewczyna, nie opuściłam! Oni podli, a ja szlachetna! Ot, widzicie, jaka ja! ” Tak, tak! Masz prawo chwalić się, a na braci wygadywać! Oni opuścili, a ty nie opuściłaś. Masz prawo! masz! Choć bywa na świecie i tak: że ten, kto wygląda na złego, lepszym jest od tego, który wygląda na dobrego. Ale ja do ciebie tego nie mówię: ty dobra, najlepsza. Boże zmiłuj się, oj Boże zmiłuj się!

Przez cały czas tej mowy Jadwiga milczała, i tylko coraz niżej nad robotą pochylała głowę; ale kiedy głos za przepierzeniem wyraził filozoficzne zdanie, że często ten, który wygląda na złego, lepszym bywa od tego, który wygląda na dobrego, blade jej palce drząc zaczęły i wypuściły na szarą suknię wijącą się strugę różowej wstążeczki. Rozumiała ona dobrze kogo tyczyły się te słowa, a zawierająca się w nich niesprawiedliwość rzuciła jej znowu do policzków gorące rumieńce. Nie podnosząc głowy, przytłumionym głosem istoty, z całej siły żal i gniew swój hamującej, odpowiedziała:

– Ja bardzo dobrze wiem o tem, że dla mamy Władys i Józio zawsze odemnie lepsi. Gdybym ja gwiazdy z nieba zdejmowała, a oni w błocie po uszy siedzieli, zawsze byłabym od nich gorszą...

– Gwiazdy! – z ironicznym, ochryplym śmiechem powtórzył głos za przepierzeniem. – Gwiazdy! gwiazdy! Jezus, Marya! Skończenie świata! Ja chcę, żeby ona dla mnie gwiazdy z nieba zdejmowała! Ona mi wymawia, że gwiazdy dla mnie z nieba zdejmuje! A gdzież te gwiazdy? jakież to gwiazdy! Śliczne gwiazdy! Jezus, Marya! zginienie zdrowia i życia! Nędzny kawałek chleba, zgryzota posmarowany!

– Niech mama będzie przekonana – głośniejsz nieco niż wprzód przerwała Jadwiga, – że gdybym miała marcepany, samabym ich nie jadła, ale mamębym niemi karmiła. Cóż, kiedy mnie na nic innego prócz tego nędznego kawałka chleba nie stać!

Głos za przepierzeniem zaskrzypiał:

– Masz tobie! Skończenie świata! Teraz o marcepanach gadać zaczęła. Jezus, Marya! Nieszczęście wieczne! Czy ja kiedy od ciebie marcepanów wymagałam? Niczego ja od ciebie nie wymagam, bo ty nie taka, aby tobie serce nad matką i jej niespokojnością zabolalo... To prawda, że synowie wyrzekli się mnie, zapomnieli, opuścili, a córka mię utrzymuje; ale za to oni mię i nie gryzą, nie martwią, nie sprzeciwiają się na każdym kroku...

– Trudno, aby na każdym kroku sprzeciwiali się, kiedy o sto mil mieszkają! – sarknęła Jadwiga i szybko końcem palca otarła dobywającą się na powiekę kroplę, bo zlekła się, aby łza nie splamiła różowej wstążeczki.

Śpiesznie, z wielką uwagą, mnóstwo kokardek przymocowywała do dziecinnej sukienki, a za przepierzeniem rozległy się teraz odgłosy, w których rozpoznać można było energiczne wytrępywanie z pyłu spódnicy. Szast! szast! szast! fruwała w powietrzu wytrępywana spódnica, a odgłosowi temu wtórowało głośnie mruczenie:

– Śmierć, niedola, zgryzota, nieszczęście! Boże zmiłuj się! Boże zmiłuj się! Boże zmiłuj się ty nad nami!

Przystroiwszy mnóstwem kokardek sukienkę dziecinną, Jadwiga z igłą i nićmi pobiegła z kolei do wytwornej damy bez głowy, znowu u stóp jej przykłękała, i dość głośno, aby za przepierzeniem być słyszaną, zawołała:

– Może mama będzie łaskawa samowar nastawić i herbatę zrobić, bo ja czasu nie mam!

Z za przepierzenia doszła ją odpowiedź:

– Zaraz, natychmiast, w ten moment, do usług! Nie krzycz już tylko! Idę, biegnę, lecę! tylko nie krzycz!

Przykre, nerwowe drzenie przebiegło po palcach Jadwigi.

– Ależ moja mamó, ja wcale nie krzyczałam, tylko prosiłam! – odpowiedziała, a do siebie syknęła: – Oj cierpliwości! cierpliwości! cierpliwości!

Za przepierzeniem dało się słyszeć kłapanie po podłodze znoszonych trzewików i przyciszone, ale wyraźne mruczenie:

– A czemuż nie masz krzyczeć! Ty tu pani! Ja z twojej łaski żyję! Czemu nie masz krzyczeć na niegodziwą matkę, którą rodzeni synowie opuścili, a ty jedna nie opuściłaś i utrzymujesz! Zaraz będzie samowar, i herbata, i ogień w piecu zapalony, i wszystko! Zaraz, natychmiast, w ten moment! Jezus, Marya! Służę, służę!

Przy ostatnim wyrazie drzwi jakieś mocno stuknęły i wszystko umilkło. Jadwiga upinała jeszcze draperie na sukni wytwornej damy, a gdy to skończyła i dzieło rąk swoich ze wszystkich stron obejrzawszy, nic już w niem do poprawienia nie znalazła, podeszła ku oknu, cienkie ramiona, jak ktoś zmęczony czy niewyspany, wysoko nad głowę wyciągnęła, i z dłońmi na włosach złożonemi nieruchomo stojąc przez chwilę, na rozścielający się za oknem, śniegiem okryty dziedziniec patrzała.

Dziedziniec to był obszerny, prostokątny, ze wszystkich czterech stron otoczony wysokimi ścianami, których rażącą białością przerywały cztery rzędy równoległe osadzonych zupełnie jednostajnych okien. W górze, na białawem dziś tle nieba, jaskrawo odbijał dach z czerwonej blachy, z mnóstwem wyżej i niżej umieszczonych kominów; w dole, nad samą ziemią, ciemno zarysowywały się pomiędzy oknami drzwi do oddzielnych mieszkań prowadzące. Bo te cztery wysokie gmachy, tworzące dokoła dużego dziedzińca regularny czworobok, zawierały w sobie tylko małe, tanie, dla ludzi ubogich przeznaczone mieszkania. Żył w nich rodzin kilkadziesiąt, a osób kilkaset, – samo ubóstwo: drobni rzemieślnicy, drobni kramarze, gdzieś tam też drobni urzędnicy, tanie nauczycielki, szwaczki, staruszkowie z drobnych emerytur żyjący, mężczyźni i kobiety, chrześcianie i starozakonni, – prawdziwy kocioł z przegródkami, z których w każdej gotowały się cokolwiek odmienne, ale w gruncie podobne do siebie potrawy; grunt ten stanowiły troski, zgryzoty i ciężka praca, a tylko w jednej przegródce było pół, w drugiej jedna, w trzeciej zaś parę szczypt drogiej przyprawy wesołości, miłości i nadziei. Pełną garścią nikt ich tu sobie do życia nie sypał, choćby dlatego, że czasu na to nie było.

Jednak sporo wesołości posiadała ta oto naprzykład młoda, przystojna kobiecina, w której twarz patrząca przez okno Jadwiga wlepiła chmurne, zmęczone oczy. W zgrabnym, watomanym paltocie (futra tu były rzadkością), w żółtawej, włóczkowej chustce, zalotnie na czarnych włosach zawiązanej, z koszykiem na ramieniu, wybiegła ze swego mieszkania, i odwróciwszy się ku komuś niewidzialnemu, głową jakby na pożegnanie kiwać zaczęła, przyczem uśmiechała się tak szczerze, że rząd białych zębów z za różowych warg ukazywała. Ale we drzwiach otwartych ukazał się i na progu stanął: mężczyzna krępy, silny, muskularny, z ciemnymi włosami, rozczochranemi nad okrągłą, rumianą, wąsatą twarzą. Stoi na mrozie bez surduta, i ani czuje, że mu plecy tylko kamizelka a ramiona rękawy koszuli osłaniają. Ku odchodzącej kobiecie kiwa też głową i uśmiecha się do niej tak, że aż rząd białych zębów z pod ciemnych wąsów ukazuje.

Jadwiga zna tych ludzi z widzenia, a nawet rozmawiała z nimi nieraz. On jest ślusarzem, który od paru lat zaledwie pracuje na własną rękę; ona była służącą, a teraz zarobek męża zwiększa przez swój, który praniem bielizny zdobywa. Ma nie więcej nad lat dwadzieścia parę, a że jest brunetką, bardzo jej do twarzy w żółtawej chusteczce. Żwawo i zgrabnie ku bramie pobiegła, ale on ją przywołał jeszcze i sam na jej spotkanie, szerokim i ciężkim krokiem fizycznie pracujących ludzi postąpił. Parę minut stali na śniegu i rozmawiali żywo. Potem podali sobie ręce, i widać było, jak ścisnęły się one mocno, mocno; poczem ona ku bramie odbiegła, lecz raz jeszcze odwróciła się i tak głośno, że każde jej słowo wyraźnie do Jadwigi doszło, zawołała:

– Michał! Michał! a pilnujże dobrze dziecka!

Mieli jedno dotąd, dwuletnie dziecko, które raz, zeszłej jesieni, Jadwiga przez dziedziniec przechodząc, na ręce wzięła i bawiła się niem przez chwilę, patrząc z uśmiechem w błękitne, śmiejące się jego oczy.

– Zkąd ten malec wziął takie błękitne oczy, kiedy państwo oboje jesteście bruneci? – żartobliwie zapytała sąsiadki, która z wysoko zawiniętymi rękawami i rękoma pieniącymi się od mydlin obok niej stała.

– Broń Boże! Michał nie brunet! Pani nie przypatrzyła się, że u niego włosy „szaten” a oczy błękitne! – z niejakim oburzeniem na popełnioną przez nią omyłkę zawołała ślusarzowa.

Ona z zamyśleniem w oczach powiedziała wtedy:

– Tak zgodnie państwo z sobą żyjecie i tacy zawsze jesteście weseli, że aż miło na was patrzeć...

Teraz, kiedy żółtawa chusteczka ślusarzowej zniknęła w bramie, Jadwiga spostrzegła ciągnącą się zwolna przez dziedziniec barczystą kobietę w wielkim futrzanym kołnierzu i z dużą, czerwoną twarzą, otoczoną czarnym garniowaniem kaptura. Była to siostra tej, której dziś, przed godziną lub nieco więcej, język pokazała. Z kolei, sunęła ona do kościoła i do miasta, a wkrótce sunąc będzie jeszcze trzecia. Ale teraz, ominął ją szybko i ku bramie podążył młody mężczyzna w zgrabnym, chociaż wytartym futerku, z zapalonym papierosem w palcach, z bladawą twarzą i jasnym wąsikiem.

Znała i tego. Urzędnik pocztowy, małą pensję otrzymujący, uczciwy, łagodny i przystojny chłopak, – przed trzema laty, kiedy na tym dziedzińcu zamieszkał, starał się bardzo zabrać z nią bliższą znajomość; przy każdym spotkaniu kłaniał się jej pośpiesznie i z uszanowaniem: przy każdej sposobności oddawał jej drobne sąsiedzkie przysługi, aż pewnego dnia nieśmiało zapytał, czy pozwoli, aby ją kiedykolwiek odwiedził? Pozwoliła, przyszedł, a dla niej odwiedziny te niemiłymi nie były; ale właśnie, aby zadowolenia swego zbytecznie nie okazać i aby on jej o chęć kokietowania go i łapania nie posądził, taką okazała się sztywną, niezręczną, surową, że prędko odszedł i więcej nie przyszedł już nigdy. Wiedziała nawet, iż przed tym i owym mówił nieraz, że z początku panna Szyszkówna bardzo mu się podobała, ale że przy bliższym poznaniu sympatyę do niej stracił. Od tego czasu kłaniali się sobie tylko zdaleka, – i byłaby nawet zupełnie zapomniała, że niegdyś podobała się mu była i on się jej podobał, gdyby jej tego w domu nie przypomniano...

Teraz także, stojąc przy oknie, nie patrzy nawet za znikającym w bramie młodym sąsiadem, ale machinalnie ścigając wzrokiem ciężki lot wrony, unoszącej się nad dziedzińcem, myśli o tem, że musi jeszcze wyprasować te trzy dziecinne sukienki, przejrzyć sześć świeżo uszytych męskich koszul, a potem, wszystko to w zawinięcie ułożywszy, iść z nimi do miasta, właścicielom podnosić, zapłatę odebrać i na wigilijną wieczerzę do domu powrócić. Surowo więc w myśli karci samą siebie za to, że nie wiezieć czego jak słup stanęła, i jak gawron gapi się przez okno, nic nie robiąc...

W chwili właśnie, kiedy przestając być „gawronem,” odwróciła się od okna, we drzwiach przepierzenia ukazała się stara kobieta, w jednej ręce szklanę z herbatą, a w drugiej koszyk druciany z chlebem i sucharkami niosąca. Poranny negliż jej składał się z poplamionej spódnicy i podartego kaftana: włosy gęste i czarne, jak posępna chmura opadały jej na ciemne, bardzo pomarszczone czoło; gdy szła, znoszone i źle włożone trzewiki klapały o podłogę. Zresztą, niewysoka, trochę krępa, nie miała w sobie nic osobliwego, coby ją w szczególności od innych starych kobiet odróżniało: nic oprócz ponurej sprzeczności czarnych włosów z zestarzałą twarzą i oczu wypukłych, wielkich, napełnionych wyrazem tak ogromnego bólu, że niepodobna go było od pierwszego zaraz spojrzenia nie spostrzedz. Przez te oczy, pod gęstymi brwiami i pomarszczonym czołem osadzone, patrzył zawód jakiś, nigdy zapomnieć się nie dający, i żal nieprzeplakany, śpiczasta zaś linia nosa i wklęsłe usta zdradzały gniewliwość i wieczne, zgryźliwe z całego świata niezadowolenie.

Postawiwszy szklanę i koszyk na stole, nie odeszła, ale przed córką stanęła, zaciśniętymi wargami to w prawo, to w lewo szybko poruszała, aż przytłumionym głosem zaczęła:

– A ty nie waż się mówić, że oni w błocie po uszy siedzą! Kara boska! Zginienie wieczne! Trzeba za grosz serca nie mieć, aby tak na rodzonych braci wygadywać! Zkąd ty wiesz, że oni w

blócie siedzą? Jezus, Marya! Zkąd ty to wiedzieć możesz? Czy tobie kto powiedział o nich cokolwiek, nagadał, napaplał?... A?

Aż zadrżała od widocznego niepokoju.

Jadwiga, łyżeczkę, którą herbatę do ust niosła, z palców wypuściła, i szeroko otwartymi oczyma patrzyła na mówiącą.

– Ja mówiłam, że oni po uszy w błócie siedzą! Ależ ja tego nie mówiłam wcale!

– Plaga egipska! śmierć, nieszczęście! jakto nie mówiłaś? Jezus, Marya! Mówiłaś przecie, że ty gwiazdy z nieba zdejmujesz, a oni w błócie po uszy siedzą. Nie mówiłaś tego? A? Śmiesz zaprzeczać, że nie mówiłaś!

– Ależ moja mamó! jakże ja mogłam mówić o sobie, że gwiazdy zdejmuję! To było tylko przypuszczenie... tak samo o Władku i Józiu... Cóż ja mogę wiedzieć, gdzie oni siedzą i co robią? Mama wie sama, że nic o nich nie wiem...

– Nie wiesz! – wybuchnęła stara, i choć rozgniewała się jeszcze bardziej, trwoga z oczu jej zniknęła. – Nie wiesz? Nikt przed tobą niczego na nich nie nagadał? Jezus, Marya! To i czemuż językiem mlełaś? Komedia! zgryzota! zginienie zdrowia i życia! Umyślnie mnie przestraszyłaś! umyślnie! umyślnie! Niech stara matka myśli sobie, że jej synowie w błócie po uszy siedzą! Przecież pięć lat ani **dudu** o nich nie słyhać! Niech matka myśli, że zmarnowali się oni, rozłajdaczyli się, przypadli. Ja za to przy niej jestem, ja, córka, poczciwa, dobra, perła, brylant, złoto najczystsze...

– Cierpliwości, cierpliwości, Boże mój, cierpliwości! – załamując ręce, syknęła Jadwiga.

Ale stara syknięcia tego nie słyszała, czy niezwróciła na nie uwagi. Drepcząc dokoła stołu i podnosząc z ziemi skrawki materyi, mówiła i wykrzykiwała dalej:

– Czy ty taka siostra, żebyś do braci zateśkniła? Czy ty taka, żebyś matkę w smutku i niespokojności pocieszyła, utuliła? Jezus, Marya! Ty i kontenta, że pochłubić się możesz przed światem: „Ot, jacy moi bracia, a jaka ja! patrzajcie!...”

Z głośnym brzękiem łyżeczka z palców Jadwigi na ziemię upadła: jednocześnie, ona sama, jak struna, porwała się z krzesła.

– O, Boże mój! – zawołała – za co ja te wszystkie męczarnie znoszę? Co ja mamie złego zrobiłam? Czy to moja wina, że Władek i Józio tak o nas zapomnieli, jakby nas wcale na świecie nie było?...

– Zapomnieli! – krzyknęła stara, – męka! zgryzota! niedola! A zkądże ty wiesz, że zapomnieli? Jezus, Marya! A nuż przypomną sobie jeszcze, napiszą, przyjadą, a?... Co wtedy będzie?... Wstyd będzie siostrzyczce, która tak już napewno tryumfuje i języczkiem miele: „Zapomnieli! zapomnieli!”

– Ja ani tryumfuję, ani językiem o nich mielę! Ja sama niemało nagryzłam się i napłakałam przez to, że oni tacy...

– Jacy? jacy? Jezus, Marya! jacyż oni? jacy?

– Ale przez to, że oni tacy, mama mnie zniecierpiała i na mnie gniew swój spędza! Nigdy ja od mamy dobrego słowa nie słyszę! nigdy z sobą jak matka z córką, jak przyjaciółki, nie porozmawiamy. Co tylko zrobię, źle; co powiem, źle, – i wszystkiemu ja winna...

– Jezus, Marya! Skaranie boskie! Ot rozgadała się! Ot rozpuściła języczek! ot jędrza!

– Znoszę i znoszę! milczę i milczę! ale czasem już wytrzymać nie mogę! Dziś naprzykład, od samiuteńkiego obudzenia się mama dokuczać mi zaczęła, a ja bardzo dobrze wiem dlaczego? Dlatego, że Święta nadchodzą, a jak tylko jakie święta, czy imieniny, czy tam coś takiego nadchodzi, mama zawsze spodziewa się, że Władek i Józio napiszą, odezwą się, powinszują, i kiedy się to nie stanie, na mnie swój gniew i cały żal wylewa...

– Nie stanie się! nie stanie się! Jezus, Marya! A zkądże ty wiesz, że już tak napewno nie stanie się? A jeżeli stanie się, jeżeli napiszą, to co? Wstyd będzie miłej siostrzyczce, a?...

– Nie napiszą...

– Otóż napiszą, napiszą, napiszą! Dziś listy od nich będą... Jak wrócisz z miasta, zaraz ci pokażę.. Zyg, zyg, marchewka, zyg, zyg, marchewka! Jezus, Marya!

– Pięć lat już nie pisali i teraz nie napiszą...

– Stul buzię i złego nie przepowiadaj, a kiedy pocieszyć mię nie możesz, to przynajmniej nie gryź! Plaga egipska! śmierć! nieszczęście! zginienie zdrowia i życia!

Chodziły, a raczej krążyły obie po pokoju, same nie wiedząc po co. Z rozbłysłymi oczyma i rozmiotanymi ramionami stawały czasem przed sobą, albo pochylały się i podnosiły z ziemi szmatki materii. Głosy ich, z których jeden stary był, gruby, ochryply, a drugi, dość przyjemnie zrazu brzmiący, lecz coraz więcej nadbierający tonów cienkich i piskliwych, przepełniały pokój i przez okno wydostawały się na zewnątrz, ku wielkiemu ukontentowaniu trzeciej siostry nabożnisi, która w wysoko garniowanym kapturze i z książką do nabożeństwa w ręku, z kolei przez dziedziniec przechodząc, kłótnię w mieszkaniu sąsiadek usłyszała i od cichego chichotu dużą, czerwoną twarz do połowy prawie w wielki futrzany kołnierz wtuliła.

Wtem, tuż prawie nad ich głowami, za ścianą ich mieszkania, rozległy się jakieś głośnie łoskoty i wybuchnął ogłuszający wrzask kilku, a może i kilkunastu dojrzałych i dziecinnych głosów.

– Święci pańscy ratujcie! pożar, czy rozbójniki? – krzyknęła stara, i przez małą sionkę na dziedziniec wyskoczyła. Ale Jadwiga ani drgnęła, mogło się zdawać, że rozlegających się za ścianą przeraźliwych łoskotów, wrzasków, pisków nie słyszała wcale. W gruncie rzeczy, czuła się w tej chwili tak nieszczęśliwą, że ani pożar, ani rozbójnicy, ani żadne klęski tego świata przestraszyłyby jej nie mogły. W tej chwili, gdyby ogromny jaki kamień spadał na nią, nie umknęłaby głowy, przynajmniej świadomie nie uczyniłaby tego. Owszem, niech spada, niech ją zdruzgocze! niech już wszystkiemu koniec będzie!

– Piekło, nie życie! – stając znowu u okna, syknęła, i zrazu nic nie widzącymi oczyma, lecz potem z budzącą się uwagą patrzeć zaczęła na dwie przez dziedziniec idące, a teraz właśnie ku jej oknu zbliżające się osoby.

Były to dwie kobiety: jedna staruszka niskiego wzrostu, dość otyła, z laską, którą widocznie drogi przed sobą szukała, w ręku; z rumianą twarzą, przy której uderzająco odbijały ciemne, wielkie okulary i wydobywające się z pod czarnego kapelusza srebrzyście siwe włosy; druga wysoka, niemłoda, ale jeszcze bardzo piękna, bardzo zgrabna, coś wyniosłego i surowego w całej postaci mająca. Dość było jednego rzutu oka, aby odgadnąć, że pierwsza z tych kobiet była zupełnie ślepą, a druga prowadziła ją z uwagą i pieczołowitością, które pięknym i dumą napiętowanym jej rysom nadawały wyraz nabożnego prawie skupienia.

Jadwiga wiedziała, kim były te dwie jej sąsiadki. Starsza, to wdowa po obywatelu wiejskim, która przez nieszczęśliwe wypadki jednocześnie prawie straciła męża, wzrok i majątek; druga, jedyna jej córka od lat już kilkunastu lekcjami muzyki i języków ciężko na życie zarabiająca. Miały niegdyś duży majątek i nosiły piękne szlacheckie nazwisko; teraz, ubogie i osamotnione, nie zapomniały jednak kim były i prowadziły życie ściśle od otaczającej je ludności wyosobnione. W zamian dość było trochę tylko na nie popatrzeć, aby poznać, że same dla siebie stanowiły nawzajem świat i szczęście. Rumiana twarz staruszki, pomimo oceniających ją okularów, bardzo była łagodną i wypogodzoną; w twarzy jej córki ślady cierpień przebytych lub jeszcze przebywanych, zmniejszyła wyraz rozrzewnionego skupienia, z jakim strzegła każdego poruszenia istoty, którą ramieniem swym obejmowała i słuchała każdego wychodzącego z ust jej słowa. Tak ścieżką wśród śniegu wydeptaną szły zwolna, ściśle do siebie przytulone, i zcicha nieustannie z sobą rozmawiające. Tak od lat już wielu, dwa razy dziennie przechadzały się po tym dziedzińcu po półgodziny lub dłużej.

Jadwiga często patrzyła na nie przez okno, i zdawało się, że nigdy dosyć napatrzeć się nie może. Było w nich coś, co ją pocieszało, i rzecz dziwna, zarazem martwiło, czy też własne zmartwienie jej przypominało. Zawsze pragnęła zapoznać się bliżej z panną Karoliną, i choć niekiedy spędzić trochę czasu w towarzystwie jej i jej matki. Starła się też o to; pannę Karolinę kilka razy, najuprzejmiej jak tylko umiała, na dziedzińcu rozmową zaczęła; pewnego dnia nawet pośpiesznie podbiegła, aby podnieść z ziemi chustkę, upuszczoną przez jej matkę. Ale ona, bardzo grzecznym, lecz i bardzo chłodnym obejściem się okazała, że bliższej znajomości zabierać z nią nie chce, zarówno zresztą jak

z nikim z pomiędzy licznych mieszkańców tego dziedzińca. Nie obraziła się za to, nie przezywała jej, jak to czyniły trzy dewotki, arystokratką i nadętą indyczką, ale nigdy już więcej nie zaczepiała Karoliny i gorącą urazę czuła do Pauliny, tej szwaczki, która z kawalerami włóczyła się po ulicach, a którą podejrzewała że ją przed temi paniami obgadała.

Paulina jedna z całego dziedzińca miała do nich wstęp i łaski. Nastęrczyła im się sama do szycia sukien, a była taka wesoła, gadatliwa, śmiechulska, umizgalska, że podobać się im musiała. Jadwiga za nic w świecie nie potrafiłaby mizdrzyć się do nikogo, ani też dla niczyjej zabawy, tak jak ta Paulina, chichotać i niestworzone historie wymyślać. Uraza, którą za obgadanie jej przed temi paniami względem towarzyszkii uczuwała, jednym więcej ziarnkiem pieprzu osiadła w jej sercu. Teraz, patrzy ona na nie przyjaznym wzrokiem i widzi, jak panna Karolina, z twarzą nad głową matki pochyloną, mówi do niej o czemś dość długo z uśmiechem, który przywiedłym i surowym jej ustom nadaje wyraz cichego wdzięku. Musiała coś miłego, czy zabawnego powiedzieć, bo staruszka śmiać się zaczyna i jedną ręką laskę w śnieg pograżając, drugą pieszczotliwie głaszcze ramię córki. Jest to widok bardzo prosty, drobnostka, jedno nic; a przecież oczy Jadwigi, mające tę własność, że barwa ich zmienia się stosownie do natury doświadczonych wzruszeń, świecą czystym, turkusowym błękitem, który powoli znika pod szklistą powłoką, aż nakoniec kilka łez stacza się po jej policzkach i spada na szary stanik... Przywiązanie i szanowanie się wzajemne, słodycz obejścia się, zgoda, ufność, – Boże! jakież to w nieszczęściu nawet wielkie, niewysłowione, dla niej prawie niepojęte, szczęście!

Wkrótce jednak żywo od okna odskoczyła, i płótno, na którym prasować miała dziecinne sukienki, śpiesznie na stole rozpostarła. Drugi już raz dnia tego surowo skarciła się w myśli za beczynne gapienie się przez okno, i przyniósłszy z kuchni żelazko pełne rozpalonych węgli, tak gorliwie prasować zaczęła, jakby nietylko czas stracony wynagrodzić, ale i sumienie swoje uspokoić chciała. Głośne stuknięcie drzwiami oznajmiło jej powrót matki z dziedzińca.

– A to bachury tej kramarki jedno przez drugie ze wschodów zlatywały, a matka, ojciec, starsze siostry, podnosiły je i w niebogłosy wrzeszczeli! Plaga egipska! choroba! złość! nieszczęście! W takim sąsiedztwie żyć, to lepiej nie żyć! Oj, mieszkanie, Jezus, Marya! żeby poczciwi ludzie takiego nie znali! Za te pieniądze można byłoby lepsze mieć, ale czy ty taka, żebyś po mieście pochodziła, popatrziała, postarała się... Co ciebie to obchodzi? Jezus, Marya!

Gderała, sarkała, gniewnie mruczała, a zarazem niespokojne wejrzenie rzucać zaczęła na córkę, której twarz pochyloną, nakształt mgły zasłaniała para, dobywająca się z pod żelazka.

– Czemu herbaty nie pijesz? Jezus, Marya! Czy zagłodzić się postanowiłaś? Śpisz tyle, co zając, jedz jeszcze tyle, co wróbel, zdrowa będziesz! Męka! niedola, nieszczęście! Czemuż nie pijesz herbaty? Ostygła! No, to gorącej przyniosę!

Podreptała do kuchni i wróciła zaraz nietylko ze szklanką świeżo nalanej herbaty, ale także z masielnicą i kawałkiem sera na talerzu.

– Chleba z masłem i sera zjedz! A może mleka chcesz do herbaty? Jezus, Marya! Mam trochę w garnuszku, zaraz przyniosę.

I znowu podreptała po mleko, a gdy po chwili wracając, zobaczyła córkę jeszcze w prasowaniu pograżoną, wybuchnęła:

– Skaranie boskie! plaga egipska! śmierć! niedola! wieczne zginienie! Nie śpisz i nie jesz! Czy ty nie rozumiesz, co z tego wszystkiego wyniknie? Jezus, Marya! dobrze ty to rozumiesz! Rozumu dosyć masz, o jej! aż nadto, tylko serca braknie, braknie, braknie... Bo gdybyś miała serce, pomyślałabyś sobie: co ze starą matką stanie się, jeżeli ty zachorujesz, albo broń Boże jeszcze i co gorszego...

Kiedy twarz Jadwigi wynurzyła się z mgły dobywającej się z pod żelazka, błędził po niej ostry, ironiczny uśmiech. Chmurna, milcząca, ze smugami żółtości pod delikatną skórą policzków i czoła, wypita herbatę, obejrzała raz jeszcze wykończone roboty, starannie ułożyła je w sporym koszu i ubrała się do wyjścia na miasto.

Niezmiernie skromne to było ubranie, ale wyglądała w niem ona na zupełnie przyzwoitą i wcale ładną panienkę. Z pod czarnego, skromnego kapelusza wychylał się piękny, gładko uczesany warkocz, futerko z najtańszych w świecie kotów, osłaniając zbytnią chudość jej kibici, czyniło ją bardzo zgrabną.

Z koszem napełnionym owiniętymi w białe płótno przedmiotami zbliżyła się do drzwi, lecz stanęła jeszcze i obejrzała się na przepierzenie, za którym słychać było znowu trzepanie starych trzewików.

– Do widzenia mammo! a o której godzinie będziemy dziś jeść wieczerzę, abym się nie spóźniła?

– O której? o której? – ozwała się za przepierzeniem odpowiedź – Jezus, Marya! A o której każesz? Ty tu pani...

– Ja nie każę i mnie to wszystko jedno, ale nie chciałabym, żeby mama czekała...

– Jezus, Marya! A dlaczegoż czekać nie mogę? Ty nie możesz! bo ty tu pani i wszystko tu twoje! A ja co? Sługa pokorna, stary grzyb na nic nieprzydatny, próchno, które nie wiezieć po co na tym świecie miejsce...

Więcej Jadwiga już nie słyszała, bo popędliwie drzwi otworzywszy i z głośnym stukiem za sobą je zamknąwszy, na dziedziniec wybiegła.

Na dziedzińcu, panna Karolina i jej matka ściśle do siebie przytulone i ciągle z sobą rozmawiające, powoluteńku przechadzały się jeszcze; z przeciwnej strony przemykał pod ścianą młodzik jakiś, hulacką piosnkę pogwizdujący, z wywiedłą twarzą, w czapce z gwiazdką, krzywo na głowę włożonej, w rozpiętym paltocie i z zapalonym papierosem w ręku. Był to syn mieszkającego w rogu dziedzińca pokątnego doradcy. Naprzeciw zaś Jadwigi, z bramy, szybko wyszła i prawie biegła para młodych ludzi. Jadwiga chciała bardzo parę tę zdaleka ominąć, ale było to niepodobieństwem: po obu stronach wznosiły się prawdziwe wały śniegu, i tą tylko wydeptaną ścieżką przejść było można. Więc też, mała, fertyczna, wystrojona, z rumianą buzią i zadartym noskiem szwaczka Paulina, obok której szedł młody urzędnik pocztowy, spotkała się z nią oko w oko i, przystanąwszy, zaszczębiotała:

– Oho! panna Jadwiga pełniuteńki kosz roboty odnosi! A u mnie już z miesiąc wcale żadnej nie było!

– Nie winszuję, – odrzuciła Jadwiga i chciała iść dalej, ale Paulinka drogę jej sobą zagradzała.

– Czego mi pani nie winszuję, rzekła, wyszczerzając białe ząbki: – czy tego, że roboty nie mam? Ej, to nic! Za to wesoło sobie po świecie bujam!

Młody urzędnik na śnieg patrzył, jasnego wąsika pokręcał i uśmiechał się. Jadwigę drażnił ten uśmiech; prędko więc odpowiedziała:

– Dobrego tylko końca temu bujaniu życzę!

Paulina zaśmiała się głośno i srebrzyście.

– Już jaki tam będzie koniec, to będzie, ale przynajmniej teraz do cytryny nie jestem podobna!

...

Oczy Jadwigi stalowo błysnęły.

– Proszę mi pozwolić przejść! – zawołała, i poruszeniem ręki usuwając z drogi natrętą przeszkodę, dodała: – Wolę być żółtą, jak cytryna, niż brudną, jak ścierka.

I poszła, ale odchodząc, usłyszała za sobą srebrny głosik Pauliny, wymawiający:

– Ot, jędza!

Odpowiedzi młodego urzędnika nie dosłyszała, ale raz jeszcze doszły ją słowa Pauliny:

– A przecież to dawny pański ideał!

Kilkanaście kroków uszedłszy, Jadwiga obejrzała się. Młoda para szła środkiem białego dziedzińca żwawo, wesoło. Oboje nieśli w rękach jakieś paczki i zawiniątka, zapewne przysmaki, rozmawiali z sobą ciągle, w oczy sobie często zaglądali. Biły od nich młodość, wesołość, swoboda. Jadwiga patrzyła. Ot jak! Ot jak trzeba żyć, aby dobrze było na świecie! Ta dziewczyna jest leniwą, roztrzepaną, lekkomyślną, a zarazem świeżą, jak róża, wesołą, jak szczygieł, i co najważniejsza, przez wszystkich lubioną. Mężczyźni szczególniej przepadają za nią, i ten także, od kilku już miesięcy jak

piesek przy niej biega. Jest on już trzecim czy czwartym jej wielbicielem, ale kto wie, czy nareszcie nie zostanie mężem! Złapie go sobie pewno na męża, i będzie miała dom, rodzinę, szacunek ludzki, przyszłość pewną, wszystko. Teraz zjada przysmaki przez niego kupowane; potem, jeść będzie chleb przez niego zapracowany i dobrze! I zawsze, a przynajmniej bardzo długo nie straci swojej różowej cery, swoich fertycznych ruchów i swojej dziecinnej wesołości!

Jadwiga patrzała i pomyślała:

– Czy ona nie jest czasem sto razy odemnie rozumniejszą?

Ale tylko zapytała o to siebie, i wyprostowała się, głowę w tył odrzuciła, brwi jej ściągnęły się dumnie, oczy błysnęły. Nie, nie, stanowczo woli być żółtą, jak cytryna, niż brudną, jak ścierka! Kokietować mężczyzn, mizdrzyć się do wszystkich, żyć zawsze czyimś kosztem, śmiać się zawsze nie wiedzieć z czego, skakać po świecie, jak wróbel po grzędzie – za nic! Ją od tego wszystkiego spaliłby wstyd, tylko przez samą siebie doświadczany!

Szybko zawróciła się ku bramie, lecz zaledwie kilkanaście kroków uszła, oko w oko spotkała się znowu z dużą czerwoną twarzą, w wysokim garniowaniu kaptura wyrastającą z wielkiego futrzanego kołnierza. Niestety! była to twarz ta sama, której dziś zrana język pokazała. Więc też, czerwiejsza jeszcze niż wprzód, świecące oczy w nią wlepiając, twarz ta wnet przemówiła:

– A! panna Szyszkówna dobrodziejka! Moje uszanowanie pani! moje uszanowanie! A czy to pięknie ludziom język pokazywać?

– Bardzo niepięknie! – nie zatrzymując się, odrzuciła Jadwiga, – ale jeszcze niepiękniej w cudze okna zaglądać!

Poszła i usłyszała za sobą sycząco wymówiony wyraz:

– Jędza!

II

Krótki dzień zimowy zbliżał się do końca, gdy Jadwiga dążyła ku trzeciemu już z domów, w których miała dziś sprawy do załatwienia. W dwóch pierwszych zatrzymano ją długo, ale o to mniejsza: dziś w wigilię świąt nie potrzebuje śpieszyć się do pracy, a nie oczekują też na nią żadne zabawy. Gorszem nad długie zabawienie w tych miejscach było to, że nie otrzymała w nich całej należnej zapłaty. Ta pani, do której należała owa suknia, bogatym szlakiem z paciorek przyozdobiona, była doprawdy nad wiek swój żywą i wesołą. Czterdzieści lat miała pewno, dzieci kilkoro, a szczebiotała, śmiała się i podskakiwała, jak piętnastoletnia panienka. Włożywszy tę oddawna upragnioną i wymarzoną suknię, kręciła się czas jakiś przed zwierciadłem, potem z radością, jak ptak roztrzepotana, rzuciła się Jadwidze na szyję.

– Moja panno Jadwigo, prawdziwa artystka z pani! Ach, panno Jadwigo, jakież pani masz złote rączki!

W oba policzki ją wycalowała, pobiegła do męża, aby jemu tę śliczność pokazać, dzieci zawołała, słowem, ruch w domu powstał, gwałt, klaskanie w ręce, uciecha taka, jakgdyby nagle wszystkie błogosławieństwa niebios i ziemi na dom ten się posypały.

Było to tak zabawne i tak zaraźliwe, że Jadwiga śmiała się też z całego serca, a wdzięczne i pochlebne przyjęcie jej roboty sprawiło jej zadowolenie wielkie. Oprócz zadowolenia jednak, czuła trochę niepokoju, bo znając dom ten od lat kilku, wiedziała, że po tym wesołym początku nastąpić może dość smutny koniec. Jakoż nie omyliła się. Wesoła pani, wzięwszy z ręki jej kartkę papieru z kilku wypisanymi cyframi, posmutniała, i wtedy dopiero na czole jej spostrzedz się dały wypływające z pod filuternych loczków zmarszczki. Posmutniała, lecz grzeczną i serdeczną dla Jadwigi być nie przestała. Owszem, po raz drugi wycalowała ją w oba policzki i gorącymi słowami przepraszać zaczęła, że dziś całej tej kwoty wypłacić nie może, więc oto połowa tylko... ale za dwa tygodnie pewno... pewno...

Przeprosiny i obietnice były zarówno żywe, z głębi serca płynące, Jadwiga zaś za grzeczności, dobroć, serdeczność pozwoliłaby sobie bez oporu na drugi koniec świata zaprowadzić. Żadnego też niezadowolenia nie okazując, zakłopotaną, ale zawsze uprzejmą panią uprzejmie pożegnała, dzieci, które czepiając się rąk jej i szyi, za śliczną sukienkę mamy dziękowały, ze szczerym śmiechem wycalowała, i poszła. Za dwa tygodnie wróci tam znowu, i może dług odbierze, a jeżeli i nie odbierze, to cóż robić? Nie zginie przez to i państwa tych do sądu nie pociągnie. Dobrzy ludzie! Niech zdrowi bawią się, kiedy im na świecie tak wesoło!

W drugim domu spotkała ją znowu inna historia. Te dziecinne sukienki, które z prawdziwym zamiłowaniem i najgorliwszym staraniem wypracowała, wypieściła, wystroiła, okazały się po przymierzeniu niezupełnie dobrze zrobionymi. Osoby, do rodziny tej należące, a wielkiemu aktowi przymierzania asystujące, po całogodzinnym obracaniu trojga dzieci we wszystkie strony, zgodnie uznały, że trzeba tu było koniecznie jedno zwięzić, drugie rozszerzyć, trzecie skrócić, czwarte przydłużyć. W potrzebę tych poprawek Jadwiga ani trochę nie wierzyła, znała się na tem wybornie i wiedziała, że wszystko zupełnie dobrze było zrobione. Rozumiała też przyczynę tych niesłusznych zarzutów i wymagań. Za robotę niezupełnie jeszcze wykonaną całkowitej zapłaty wymagać nie można. Ci państwo, z powodu świąt, tak znaczne wydatki mieć musieli, że na jej opłacenie im nie starczyło. Tak pomyślała, ale nie powiedziała i nie okazała co myśli. Dom ten był jednym z najzamożniejszych i najbardziej wpływowych w mieście; poróżnienie się z nim naraziłoby ją na stratę znacznej części wziętości i zarobku. Mocno więc zacisnąwszy usta, aby żadne niepotrzebne słowo wyjść z tych nie mogło, ofiarowaną sobie małą zaliczkę przyjęła, i obojętnie pożegnana, z obojętnym ukłonem wyszła.

Teraz także, gdy rozmijając się z mnóstwem ludzi, szła chodnikiem ulicy, brwi miała schmurzone i usta zaciśnięte, co na delikatne rysy jej twarzy rzucało wyraz ponury. Nie o tej jednak

niesprawiedliwości, której tylko co doświadczyła, myślała; gniew przez nią obudzony był niczem w porównaniu z przykrością, z jaką wejść musiała do trzeciego jeszcze domu.

Ten niemłody, pulchny, rumiany jegomość, któremu przed kilku tygodniami sześć webowych, bardzo wytwornych koszul uszyła była i odniosła, tak wtedy dziwnie z za swoich okularów jej się przypatrywał, i mówiąc do niej, tak pocieszenie usta wydymał, że byłaby śmiechem parsknęła, gdyby się jej jakoś straszno i nieprzyjemnie nie zrobiło. Zdawać się mogło, że oczyma wypić, a ustami wsiąknąć ją w siebie pragnął. Nic niegrzecznego, ani takiego, za co obrazićby się mogła, jej nie powiedział; ale ten szczególny umizg, który na twarzy miał, był dla niej poprostu wstrętnym. Czego on od niej chce może? Zapewne nic, zapewne jest to zwykły jego sposób patrzenia, uśmiechania się i mówienia; jednak ona wołałaby, o! jakżeby wołała wcale do niego nie iść! Cóż, kiedy zarekomendowaną mu jako szwaczka została przez pewną panią, która była dla niej zawsze dobrą i dobrze jej za robotę płaciła! On także wręczył jej wtedy natychmiast umówioną zapłatę, a ta, którą teraz otrzymać ma od niego, stanowi dla niej sumę poważną, po tamtych szczególnie dwóch zawodach, które jej sprawiono, bardzo poważną. Musi więc iść, robotę oddać i zapłatę odebrać; gdyby nie wiedzieć jak nie chciała, musi! Zresztą, nie miała żadnego wyraźnego i rozsądnego powodu nie iść do tego pana. Nie podobał się jej jego sposób patrzenia i mówienia; na myśl o nowym spotkaniu się z nim czuła jakąś niejasną bojaźń. Wielkie rzeczy! Alboż ona ma prawo i możliwość dogadzania swoim sympatyom i antypatyom, lub ulegania jakimś nierozsądnym strachom?

– Co trzeba, to trzeba!

Weszła na wschody ładnej kamienicy i przycisnęła guzik elektrycznego dzwonka; a kiedy drzwi otworzyły się przed nią, przyjazny, prawie wesoły uśmiech twarzy jej przed chwilą ponurą rozpogodził. Że też zupełnie zapomniała była o tym Ignasiu, który tu za lokaja służy, a jest jej dawnym i dobrym znajomym! Syn ubogiej praczki, na tym samym dziedzińcu mieszkającej, wzrósł wśród jego mieszkańców, wszystkim potrosze usługując i przez wszystkich potrosze żywiony i hodowany. Ona też w tem żywieniu i hodowaniu znaczny udział brać musiała, bo na jej widok ten szesnastoletni wyrostek w starej surducinie i wykrzywionych butach, aż zatrzęsł się z radości.

– Panienska! a moja złota panienska! Ot, nie spodziewał się człowiek komu drzwi otworzy! ot siurpryza!

W obie ręce ją całował. Nigdy zapomnieć nie mógł o smacznych porcyach chleba z masłem, któremi go przez lat kilka obdarzała, ani też o tem, że ona to nauczyła go czytać, co mu do osiągnięcia zaszczytnego jego stanowiska znacznie dopomogło. Z ręką na rękawie jego surduta złożoną, Jadwiga śpiesznie wyrzekła:

– Mój Ignasiu, mój drogi! zrób ty mi łaskę! Ja tu na wschodach zostanę, a ty zanieś ten kosz z moją robotą do pana, i powiedz, aby przez ciebie pieniądze, które mi się należą, przysłał. Kosz mi odnieś i pieniądze przynieś, a ja tu poczekam... Powiedz panu, że czasu nie mam, że bardzo się śpieszę, mój drogi!...

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy Ignas z usługomością wielką kosz z ręki jej pochwycił i ku wnętrzu mieszkania się zwrócił.

– Zaraz! w moment! o jej! dlaczegoż nie?

W parę minut powrócił, ale bez kosza.

– Pan prosił, żeby panienska była łaskawa wejść...

– Mówiłeś, że czasu nie mam?

– Mówiłem, ale koniecznie prosi.

Może także cokolwiek do poprawienia w robocie jej znalazł? Cóż? Najmniejszej rozsądnej przyczyny nie ma do odmawiania chwili rozmowy człowiekowi, który zarobku jej dostarcza; jeżeli zresztą zawróci się i odejdzie, jakimże sposobem odbierze należną sobie zapłatę? Wprawdzie jakiś niewytłómaczony strach i wstyd wciąż ją ogarnia, ale jest to dzieciństwo, kaprys, któremu przecież zapanować nad sobą nie pozwoli. Co trzeba, to trzeba!

Prędko w przedpokoju zdjęła kalosze, i z rękoma wsuniętymi w rękawy futerka, sztywna, z brwią namarszczoną, weszła do ładnego kawalerskiego saloniku.

Pośrodku saloniku stał niemłody, niewysoki, pulchny, rumiany, mocno łysy jegomość, w okularach, z jedną ręką okrytą rękawiczką, którą właśnie zapinał. Zapewne gdzieś na wieczere wigilijną był zaproszony, i już miał z domu wychodzić, bo na stole okrytym pięknym dywanem stał elegancki kapelus, a z eleganckiego też, wyświeżonego jego ubrania bił zapach perfum. Zaledwie Jadwiga próg saloniku przestąpiła, spojrzenie tego wytwornego pana pobiegło zza okularów, rzecz szczególna! wprost ku jej nogom. Dwa razy przedtem już ją widział, i za każdym razem spostrzegał, że ma drobną i śliczną nóżkę, że zaś, brzydząc się błotem, gdy chodziła po mieście, wysoko zwykle podnosiła suknię, więc i teraz także ta śliczna nóżka doskonale była widzialna.

– Proszę pani bliżej! Niech pani będzie łaskawa! Ale niechże pani będzie łaskawa, usiądzie, odpocznie!

Do połowy prawie naprzód wygięty, wzrokiem teraz obejmował wysmukłą jej kibić i eleganckim gestem jeden z otaczających stół fotelów ukazywał. Był grzecznym nie do opisania, aż do pokory prawie; tylko z za okularów świeciły mu dwie iskry, a mięsiste wargi tworzyły przymilony i jakby do pocałunku sposobiący się umizg, który już przedtem na Jadwigę niemiłe wywierał wrażenie. Zupełnie pomimowoli i bezwiednie, powieki spuścić musiała. Ze spuszczonej też powiekami i przytłumionym głosem krótko odpowiedziała:

– Przepraszam, czasu nie mam.

On zbliżył się do niej i w samą twarz jej patrząc, słodko mówić zaczął:

– Ale pocóż tak się śpieszyć? Dlaczego nie posiedzieć, nie odpocząć, nie pogawędzić trochę? Szkoda takich oczek dla wiecznej pracy! Szkoda takich rączek...

– Niech pan będzie łaskaw odda mi moją należność, bo do domu śpieszyć muszę! – przerwała głosem daleko silniejszym i bardziej stanowczym niż wprzód, bo gniew już wzbierał w niej zaczął.

– A jakże! a naturalnie! Natychmiast! za chwilę, za chwileczkę! – z nieporównaną galanterią wykrzyknął greczny i woniejący jegomość, przyczem kilku podskokami przeniósł się do przyległego pokoju, z którego mniej niż w minutę powrócił. W ręce ociągniętej glansowanej rękawiczką, niósł parę barwnych papierków, które podał jej z tą samą zawsze grzecznością, a jednocześnie ręką bez rękawiczki jej rękę ujął.

– Widzi pani, jak akuratny jestem! Ale co mnie za to? Co mnie będzie za to?

– Jakto! Za co? – zawołała, wrywając rękę i ze stalowym błyskiem oczu uczyniła poruszenie ku drzwiom.

Ale teraz ręka w rękawiczce znalazła się tak blisko jej kibici, że przez futro dotknięcie jej uczuła, a ręka bez rękawiczki przyciągnąć ją usiłowała ku tużurkowi, bijącemu wonią perfum, i olśniewającemu białością sztywnemu przodowi koszuli. Prędszej, niż się to da wypowiedzieć, rumiany, tłusty policzek, tuż przy swojej twarzy, a mięsiste, wilgotne wargi przy swoich ustach uczuła.

– A toż co? Jak pan śmiesz! – krzyknęła, i nie powiedziała więcej nic, tylko po pokoju rozległ się suchy trzask, od uderzenia w policzek pochodzący. Ręka, która dźwięk ten wywołała, małą była, ale ogromnym gniewem uniesioną, więc dźwięk był silny, usłyszał go za niezupełnie zamkniętymi drzwiami przedpokoju Ignaś, i tak rozweselonym się uczuł, że aż na ziemi przysiadł, obie ręce do ust przycisnął, i chichocząc z szeroko wytrzeszczonymi oczyma, szeptał:

– A to, to, to! Chi, chi, chi, chi! A to, to, to! Człowiek pęknie chyba od śmiechu! Chi, chi, chi! A to, to, to!

Skromny ten poklask, czynowi Jadwigi udzielony, nie pocieszył jej wcale, nie słyszała go nawet, jak i następnie głosu lokajczyka, który na wschody za nią wybiegłszy, wołał:

– Kosz odniosę! Niech panienska będzie spokojna! Moja złota panienska, jutro odniosę, z pewnością nie zapomnę.

Jak wiatr, jak huragan ze wschodów zleciała i wybiegła na ulicę. Nie było w niej ani jednego najcieńszego muskułu, ani jednego najgrubszego nerwu, któryby nie drżał z gniewu i rozżalenia.

Biegła, a z nią razem w uszach jej szumiąc i w piersi kołając, biegł rój czarnych myśli. Jak on śmiał tak jej ubliżyć! Za kogoż ją brał? Kimże była, aby pierwszy lepszy próbował obejmować ją i całować? Dobrze trafił! jak raz ona to do rozrzucania całusów po świecie usposobiona! Gdyby nie była tak ubogą i samotną, nikt nie ośmieliłby się z nią tak postąpić. Gdzież są bracia jej, którzyby powinni od podobnych obelg osłaniać ją i bronić? Dlaczego przed tą, której tylko co doznała, nie osłoniła jej matka? A mogła to uczynić! bo przeczuwając w tym panu coś niedobrego, prosiła przecież wczoraj, aby ją matka w odniesieniu roboty do jego mieszkania wyręczyła. I jakąż otrzymała odpowiedź?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.